# ROZMAITOŚCI.

Dnia 3. Września **N^er^ 36.** Roku 1842.


## WIECZNA MIŁOŚĆ.

Dopóki Edmundek z samborskiego gimnazyjum na wakacyje do rodziców przyjeżdzał, zawsze przywoził sponiewierane suknie, szczątki tylko bielizny, którą matka najstaranniéj sama była uszyła i poznaczyła, a nie zawsze dobre klasy. Jeźli ojciec chciał nieco wypróbować łaciny, nie szły próby. Czasem miewał z sobą książki dla przygotowania się przez wakacyje do poprawy egzaminu, ale te nietknięte spoczywały w tłómoku, a Edmundek z wyżłem brnął za bekasami po kolana w błotach, albo z chartami przez zasiéwy pędził za zającem, konie ojcowskie zajeżdzał, nieraz i na chłopskiéj szkapie, jaką dopadł, kłusował. Wszędzie go było pełno, i wszędzie jakto mówią: złote wierzby za nim rosły. Dopiéro matka truchlała, widząc, że pływa po najbystrzejszym prądzie rzéki, lub jedzie stojący na furze od gnoju — tu, ze stożka na gumnie deklamuje *Dziady* albo *Korsarza*, tu, krzyk w garderobie, ktoś poplątał prządkom nici, powypijał śmiétankę, na sznurach schnącą między drzewami bieliznę błotem pobryzgał. Jedna siostra kładąc się spać, znalazła w pościeli żabę, druga, siadła na podłożonym talérzu z wodą. Matce nawet złasował konfitury, schował okulary; ojca drzymiącego przyszył do krzesła. Ciągle tylko śmiechy, psoty, że mu rady dać nie mogli!

Kiedy zaś pan Edmund po odbytym piérwszym roku filozofii przybył ze Lwowa, wprawdzie także ręczników, chustek, nawet koszul nie stawało, kameryzowany zégarek, który matka w wyprawie wziąwszy, jemu z błogosławieństwem dała, został u zégarmistrza, piérścionek od siostry darowany na wiązanie, był w naprawie u złotnika; ojciec obojgu nie dowierzając, krzywił się, że rok wiele kosztował, a jeszcze trzeba było przy odebraniu panicza, nie jeden dłużek zapłacić; ale za to pan Edmund ubierał się porządnie, a jak zaszedł do swego pokoiku pod strychem, tak prawie z niego nie schodził — ile razy spytano co robi, pokazało się, że pisze. Psy i konie próżnowały; gdy wyszedł niekiedy, błądził samotnie zamyślony po lesie, albo po nad rzéką. Ledwie mogły czasem siostry uwabić, aby im towarzyszył, a wtedy nawet postępował zwolna, poważnie rozmawiając; psot, zabaw, śmiéchu, zupełnie zapomniał. Nie mogli się nadziwować rodzice i domownicy, że się tak ustatkował pan Edmund. Codzień matka położywszy się do snu, gdy ojciec jeszcze zégarek nakręcał, lulkę nakładał i ogień krzesał, zapytywała go troskliwie, czy uważa, że Edmundek pobladł, i czy takie ciągłe zajęcie się pracą nie będzie szkodzić jego zdrowiu? a ojciec odpowiadał: »Trochę zmizernieć musiał, bo rośnie — a lepiéj, że czyta i pisze, jak żeby bąki strzelał i wszystkim dokuczał.« Powodu tak nagłéj zmiany żadne z rodziców się nie domyślało. Siostry wybadały, ale dochowały tajemnicy — czytelnik nie jeden łatwo ją odgadnie.

Na kilka bowiem miesięcy przed tém, Edmund od pół godziny siedział z kolegami na parterze w piérwszéj ławce, nagotowawszy dłonie do klaskania pannie Żuczkowskiéj, piérwszy raz wtedy występującéj na scenie; już się zasłona podniosła, już Żuczkowska miała wystąpić, gdy oczy Edmunda od niechcenia w bok rzucone, padły przypadkiem na jednę z lóż drugiego piętra. Mężczyzna podeszły stojąc z tyłu, siwą głowę

przechylał, między dwiema poważnémi matronami; siedziała w środku panienka, ciemnych oczu i włosów, wysmukłéj kibici, w czarny kaftaniczek ujętéj — kwiatek liczący może piętnaście wiosen — zimny malarz a tém bardziéj estetyk z cyrklem w ręku, możeby regularności téj twarzy wiele zarzucił; ale w niéj, i w oczach, i w gęstych włosów splotach, w postaci i w ruchach, był taki wdzięk rozlany, że Edmund nie mógł sobie wytłumaczyć, co mu się stało. Zdawało mu się, jak gdyby ją znał od dawna, jak gdyby z nią bawił się w dzieciństwie lub od dzieciństwa śniła mu się co nocy — jak gdyby swoją matkę i siostry i wszystkie lat wiosnianych uciechy i późniejszych marzenia — i wszystkie przez Mickiewicza, Göthego i Byrona wspomniane piękności — i wszystkie poetyczne uniesienia, które od piosnek swojéj piastunki dotąd zasłyszał, widział zebrane w jednym promieniu jéj oka.

»Kto ta panienka w siódméj loży?« zapytał kolegę na prawo.

»Nie wiém, ale ładny buziaczek.«

Powtórzył to samo pytanie do kolegi na lewo.

»Nie znam jéj; niech ją wszyscy kaci porwą, jaka ładna — ale ot patrz, patrz Żuczkowska!«

Obrócił się do starego grubasa w peruce, który siedział za nim.

»Pozwoli się pan zapytać, czy nie wiadomo panu, kto są ci państwo w siódméj loży?«

»Ot, wolelibyści siedzieć cicho, i dać drugim uważać.«

Edmund nie widział Żuczkowskiéj, zapomniał co grają, piękność w czarnym kaftaniczku patrzyła z uwagą na scenę, a Edmund na nią — zaśmiała się, i on śmiał się; klasnęła w dłoń, i on klaskał bez upamiętania, nie wiedząc komu i za co. Przy wychodzie z teatru, Edmund pobiegł na schody, i wcisnął się za wychodzącémi z siódméj loży. Siwy jegomość prowadził jednę z matron — druga szła z panienką — słyszał, że rozmawiały po polsku, że ją Julką nazwała. Tyle się dowiedział, bo na dole, gdzie z parteru, z krzeseł i z galeryi wychodzący zeszli się z wychodzącymi z lóż, w ciżbie natrętny kolega wziął go pod rękę, o co go Edmund nie prosił, a trzymał i nie dał się puścić, a szedł powoli zatrzymując się i wszystkim się przypatrując. — Edmund stracił przedmiot swego uwielbienia z oczu, i już go nie odzyskał. Nie spał, nazajutrz błądził po różnych częściach miasta i po przechadzkach publicznych — nigdzie Julii nie znalazł. Trzeciego dnia ujrzał opakowany pojazd, najętym furmanem zwracający się z jezuickiéj ulicy ku grodeckiéj rogatce — w tyle siedziała jedna z matron z siódméj loży i siwy jegomość, a Julija na przodzie, i patrzyła w inną stronę. — Odjechała! może na zawsze — a Edmund został ze swoją miłością, z żalem, z rozpaczą w sercu. Gdzież ją szukać? Kogo o nią pytać? — Właśnie dnia tego tak wiele odjechało nieznajomych osób do Przemyśla, Tarnowa, Wiédnia, Sambora, Jasła, że i z gazety nie mógł się domyśléć, które imię dać Julii.

Edmund piérwszy dotąd we wszystkich studenckich zabawach i hulankach w mieście i za miastem, piérwszy w zgiełkach i hałasach szkolnych, pobudzający wszystkich do rozrywek, do śmiechu, do psot; Edmund, którego pełno było po kawiarniach i bilarach, odstrychnął się naraz od towarzyszy, chodził samotnie, dumał z nudów, odwidzał kolegija, niby notował, żeby z nikim nie mówić — ale tak był roztargniony, że śród wyrachowania przecięć stożkowych, stało dziesięć razy wypisane imię Julii, a między dyferencyjalnym rachunkiem, wyczytał ciekawy blizki kolega:

> Najpiękniejsza, jak aniołek raju,
> Najpiękniejsza ze wszystkich dziewica!...

i tym podobne cytacyje; koledzy śmieli się z Edmunda, prześladowali go czarnym kaftaniczkiem, siódmą lożą — to go gniewało, i jeszcze uporniéj stronił od nich — czytał i odczytywał cierpienia Werthera, zakochał się w swojém cierpieniu, żywił je łzami, chciał nieodbiérać sobie życia, żeby nie przestać kochać, bo przysiągł sobie bez nadziei kochać — *wiecznie*.

Po sześciu tygodniach błąkającemu się bez celu kochankowi, koło kręconych słupów mignął w oczach czarny kaftaniczek na białéj sukni — przypatruje się choć z dala, ani wątpić, że to ona. — Julija z podróży wró-

ciła — pędzi, dogania; szła z matką ku św. Zofii, i Edmund za niémi — zasiadły, każą sobie dawać śmiétany, i Edmund zajada śmiétanę. Nadchodzi chmura z grzmotami, dészczém ulewnym grozi. — Edmund cieszy się w duszy, że mając dészczochron, będzie mógł się nim przysłużyć, może nawet prowadzić, gdy oto nadjéżdza z boku kocz, w nim pani sama jedna — postrzegłszy, zaprasza te damy z sobą — i przed okiem biédnego Edmunda uwozi.

Ale w dni kilka ujrzał je wychodzące z kościoła, i szedł za niémi, póki nie weszły do domu. Odtąd nikt pilniéj od Edmunda nie odwidzał, zawsze o jednéj godzinie kościoła — nikt się pobożniéj nie modlił, a choć stał w rynku, droga do akademii i nazad prowadziła go zawsze po za wały, po pod okna Julii — ale Julija nigdy nie wyglądała; na którém piętrze stoi, nie wiedział, a wejść do domu, spytać się o nią kogo ze służących, na to mu brakło odwagi.

Więc sobie tylko wystawić można, ale nie słowami opisać radośne uniesienie Edmunda, gdy przed samém odjazdem na wakacyje, już po ostatnim egzaminie, zaproszony jako tańcujący do domu dotąd nieznajomego na wesele, w osobie drużki, Juliję obaczył. Tu już mógł o niéj więcéj się dowiedzieć. Była córką urzędnika, jedynaczką, ubogą. Matka wiele się zajmowała jéj wychowaniem i prowadzeniem, i bardzo przestrzegała skromności, na którą téż nikt cienia najmniejszego rzucić nie śmiał. I uroczystość poważna, któréj wraz byli świadkami, i Julii ubiór weselny, i jéj rozczulenie przy wynurzanych przyjaciółce idącéj za mąż życzeniach, i udział w powszechnéj radości, ożywiając ją, wdzięki podnosił. — Przedstawiony najprzód matce, potém Julii, Edmund z nieśmiałością zamówił ją do piérwszego mazura — przyjęła zamówienie i zdało mu się, że przyjęła chętnie, bo Edmunda poprzedził w towarzystwie odgłos dobrego tancerza. Gdy zabrzmiał mazur, gęste koło otoczyło tańcujących, ale w tém kole nie patrzano tylko na Juliję i Edmunda. Przy ich kształtném ułożeniu, żwawym i zręcznym tańcu, inne pary zniknęły. W przestankach ośmielił się Edmund rozmawiać z Juliją i zamówić ją do drugiego mazura. Po piérwszym mazurze zagrano walca, przystąpił inny tancérz prosić Julii, powiedziała, że jéj mama nie pozwala tańcować bez odpocznienia, bo nie dawno chorowała. — Została więc na boku przy matce, a Edmund był z drugiéj strony i z obiema rozmawiał, i tak był szczęśliwy, a tém samém tak wesół, tak wymowny, dowcipny, że matkę i córkę zarówno bawił, śmieszył, zajmował, a wstawszy, dał się przedstawić ojcu Julii. I znowu w drugim mazurze powszechny głos uwielbienia dla Julii i Edmunda rozlegał się po sali — i znowu w przestankach płynęła rozmowa, a potém Julija innemu drugiego odmówiła walca, z którym wszakże stanęła późniéj do niemęczącego francuzkiego kadryla, ale byłto niezgrabny półliterat, który się plątał, mylił figury, i źle się wydał po Edmundzie. Dano wieczerzę, Edmund prowadził matkę i siadł między nią a Juliją i nie ustał w rozmowie na chwilę, podawał, nalewał, talérze odmieniał. I staruszka była rozmowna, przytomna, i Julija wesoła, łatwa do zabawienia. Po wieczerzy, aby nie postrzeżono zniknienia z sali państwa młodych, gospodarz kazał grać kotylijona. — Matka Julii chciała odjechać, ale Edmund tak prosił, żeby jeszcze tego tańca córce z nim pozwoliła, że musiała przystać. Julija wdzięcznie na Edmunda spojrzała — ale w tańcu już ta piękna para nie była wesołą ani rozmowną. — Edmund zdawał się roztargniony, patrzył w nią jak w tęczę, ale przystąpić już nie śmiał — już zbyt na nim górowało uczucie. Przy odejściu odprowadzał, podawał płaszczyki i szale, a wsiadając do pojazdu, chwycił nieznacznie i ścisnął rękę Julii — przynajmniéj pewny, że go ścisnęła nawzajem — spojrzał jeszcze raz w oczy przy blasku latarni, były skromnie w dół spuszczone.

Za powrotem do mieszkania zastał ojca, który po niego przyjechał. Miał jednak przez dzień następny przed odjazdem jeszcze tyle czasu, aby oddać piérwszą krótką wizytę rodzicom Julii, powiedzieć, że odjeżdza i za sześć tygodni wróci, a jéj przysłać *anonime,* bukiet najpiękniejszych kwiatów, i na różowym piękńym papiérze *anonime* wypisane i różową stążeczką przewiązane najczulsze, najpoetyczniejsze wyznania —

bukiet pokazała Julija matce, która udała, że się nie domyśla od kogo pochodzi — ale poezyję schowała, w samotności wieczornéj i rannéj, codzień ją rozwijając i odczytując, choć już od piérwszego wieczora umiała na pamięć.

Ten piérwszy wiérsz, któremu uniesienie i miłość wielką przyznały wartość, zrobił Edmunda poetą — poetą na całe wakacyje. Codzień nowy płynął z pod pióra list poetyczny, pełen gorących uczuć, słodkich nadziei, kwiecistych wyrazów, którego nie posyłał, ale który czytywał wtajemniczonym siostróm i nad którym te z rozczulenia płakały. Po listach szły w chwilach tęsknoty elegije, w chwilach przemawiającego uniesienia ody, a najwięcéj sonetów. Petrarka ich tyle o swojéj Laurze nie napisał.

Te były prace naukowe, które pana Edmunda do pokoiku pod dachem przykuły, i z tąd pochodził ów statek, któremu się rodzice nadziwić nie mogli. Ich podziwienie doszło najwyższego stopnia, gdy pan Edmund, zamiast zwlékać jak zawsze swój odjazd, i szukać powodów pozostania dłużéj w domu, niecierpliwie się wyrywał, nawet poprania bielizny czekać nie chciał. Matka choć jéj żal było tracić go z oczu, cieszyła się, że tak pokochał nauki. — Ojciec krzywił się, jakby zgadywał powód pośpiechu, ale nic nie mówił.

Ledwie zeskoczył z bryczki we Lwowie pan Edmund, zaraz przebrawszy się pobiegł do rodziców Julii — okazano radość z jego przybycia, przyjęto go uprzejmie, wyszedł wieczorem już późnym, z wezbranném uczuciem, spotkał ospałego kolegę próżniaka, który się przechadzał po wieczerzy, aby przed snem wydychać trzy porcyje polędwicy. Tego chwycił Edmund pod rękę, a czując potrzebę wylania w obce serce uczuć, co go przepełniały, począł z nim przechadzać się i wystawiać piękność i przymioty nieporównane Julii i grzeczność rodziców, i swoją miłość i swoje nadzieje i szczęście. Gruby kolega myślał o dzisiejszéj polędwicy, o tém, co jutro jeść będzie; na wspomnienie piękności myślał o dziewczynie, która posługiwała w traktyjerni; nie odzywał się więc do Edmunda, a temu się zdawało, że go tak słucha cierpliwie. Długo chodzili, nakoniec doszedłszy pod swoje mieszkanie, przemówił grubas: »Prawda, że musi być bardzo ładna i miła — ale idź spać, bo zaspię jutro i spóźnię się na kolegija.« Odtąd grubego kolegę, uważał Edmund za najlepszego przyjaciela, przed którym wynurzyć może uczucia serca swojego.

Tymczasem z domu, z którego wyszedł, toczyła się po odejściu Julii między jéj rodzicami rozmowa:

»Wiész co mężu; bardzo mi się ten pan Edmund podoba.«

»Niczego chłopczyk.«

»Oj to mało powiedziéć, niczego — bo uważaj, że i przystojny, zgrabny i dobrze w głowie; jak ładnie mówi, jak się gładko tłumaczy! a co dowcipu! a jaki naturalny, niewymuszony.«

»Osobliwego nic w nim nie widzę.«

»Chybaś mu się nie przypatrzył. Już ta grzeczność dla starszych — téj, u innéj młodzieży teraz nie obaczysz. I wiesz co? on się bardzo zajął naszą Juliją, a to byłby właśnie mąż dla niéj.«

»Czy tak?«

»Tak obojętnie odpowiadasz?«

»Gdyby Julii czas było iść za mąż, jemu się żenić — a on się o nią starał, a jéj się podobał — wtedybym się zastanowił, czy to mąż dla niéj lub nie. — Ale teraz, na co się zdadzą tak dalekie projekta?«

»Dalekie projekta dobrze ukartowane, lepsze od kleconych na prędce. — My nie mamy majątku, w wyborze zięcia nie można przebiérać.«

»Dla tego jednak nie oddam jéj przed czasem piérwszemu co się zgrabnie ukłoni, i dowcipne słówko powié.«

»Nie cięży mi dziecko — nieszpetna dziéwczyna, dobre wychowanie pobiéra — toż jéj się ktoś trafi.«

»To chłopiec dobrego urodzenia.«

»Mniejsza o to.«

»U ciebie mniejsza, boś sam nie szlachcic, i jam o to nie dbała, kiedym szła za ciebie, ale dla córki przeciebym wolała człowieka z pięknem imieniem.«

»To może jeszcze szkoda, że nie hrabia.«

»Hrabia, nie hrabia, to u nas jedno.«

»I u mnie także.«

»A Edmund będzie majętny — jedynak — ojciec skąpy, zbiéra.«

»A syn tém prędzéj straci. — Ale dobranoc, mnie się chce spać.«

Matkę czy własne jakieś dawne wspomnienia, czy przykłady osób, które się długo kochając, potém pobrały, pozbawiły snu do bardzo późnéj nocy.

Edmund przeniósł mieszkanie naprzeciw Julii, aby wiecznie patrzyć w jéj okno, widzieć wychodzącą i wracającą. Julija miała okno pełne kwiatów, i on swoje podobnie ubrał. Rozumie się, że co wieczora był gościem. Uważając matka, że ojciec nie zbyt mile na te częste odwidziny patrzy, zapoznała Edmunda ze swoją przyjaciółką, która częste przez zimę dawała wieczorki, a w lecie przyjeżdżała po nię i zabiérała na dalekie za miasto przejazdki, podczas gdy mąż w biórze był zatrudniony. Edmund jak bywał piérwszym tancerzem wieczorków, tak latem w koczu czwarte miejsce znajdował.

Nic więc i jego miłości coraz wzrastającéj i coraz więcéj upragnionemu widywaniu Julii, nie było na przeszkodzie. I on podobnie jak jéj matka rozumował: »Jeszcze parę lat nauk — a potém — — ojciec wspomniał coś, że chce, żebym kończył prawo i szedł do urzędu albo był adwokatem — a mnie na co tego? Czy niéma ojciec osobnéj wioski, którą mi może wydzielić? czy to nie dość na utrzymanie się? Julija do zbytków nie przyzwyczajona. Jak powiém, że mam ochotę gospodarować, to ojciec będzie rad patrzyć z-bliska na moje prowadzenie się — a matka tém szczęśliwsza mieć mnie przy sobie. — Gospodarzowi zaś trzeba żony. Byle matka obaczyła Juliję, będzie za nią — siostry tém bardziéj. Staruszek może się trochę pokrzywi, że nie posażna; ale jak go opadniemy wszyscy i zaczniemy prosić, matka płakać; udobrucha się i przystanie.«

I tak codzień więcéj zakochany, codzień pewniejszy wzajemności Julii i przychylnego serca matki, choć im żadnego jeszcze oświadczenia nie zrobił, codzień szczęśliwszy Edmund, w upojeniu ani się postrzegł, jak większa część roku szkolnego ubiegła, przy samym końcu jednak wielkie czekały go zmiany i zawody. Po dwakroć był wezwanym do domu — raz na wesele starszéj siostry, któréj ojciec oddał w posagu tę osobną wioskę, gdzie on układał sobie z Juliją gospodarować — wesele odbyło się prędko, cicho, dla słabości matki. Nie był oswojonym z widokiem chorych, myśl zajęta Juliją, nie dała mu zwrócić na matkę całéj uwagi; choć ją kochał serdecznie, miał jéj chorobę za przemijającą, a choć dostrzegł, że go przy odjeździe z większą jeszcze jak zwykle czułością żegnała i błogosławiła, nie obudziło to w nim żadnéj obawy — lecz zaledwie stanął we Lwowie, znowu rozstawionémi końmi przysłano po niego, bo matka gorzéj zapadła. Pospieszył, i, już ją nie zastał przy życiu. Po piérwszych uniesieniach wspólnego żalu, po oddaniu zwłokóm ostatniéj posługi, ojciec zawołał go do siebie — i z tém rozbolałem sercem, któremu obok wielkiéj straty dokuczać zaczynają i mniejsze, na które dotąd mniéj zważał, z tą skłonnością widzenia wszystko z czarnéj strony, którą wielki smutek rodzi, z powątpiewaniem o swojego życia trwałość, kiedy żona o wiele lat młodsza nie żyje; począł z nim poufale rozmawiać o interesach, z którémi się dotąd jako bardzo młodym, nie wynurzał — wystawił mu stan majątku mniéj świetny, jak sobie Edmund wyobrażał. — Były dochody, ale były i straty, były kapitały, ale w złych rękach, co go zaś najwięcéj martwiło, była zawzięta i od lat wielu wlékąca się sprawa z sąsiednią gromadą o wielkie pastwiska — która już nakoniec poszła do najwyższego trybunału. — »Jeźli ją przegram, jeden koń, jedna krowa we wsi się nie utrzyma. Ja nie mogę za tą sprawą jechać do Wiédnia. — Jedź ty synu! Z dawna było życzeniem mojém, żebyś trochę świata obaczył. Jedź tam słuchać prawa, a będąc na miejscu, pochodzisz i za moją sprawą.«

Nie była to chwila sposobna do opiérania się zachceniu ojca — do wyznania mu miłości dla Julii, swoich zamysłów i nadziei. Trzeba było posłuchać. Ale był pewnym siebie — był pewnym przywiązania Julii, więc pomyślał: Tęskno mi będzie, ale będę się pokrzepiał nadzieją powrotu — prędzéj czy późniéj. Julija będzie moją! — I z tém uczuciem wrócił do Lwowa; ostatnie tygodnie swego w tém mieście pobytu, poświęcił

egzaminom z filozofii, a przecie codzień znalazł chwilkę, którą mógł z Juliją przepędzić, nie tak wesoło jak dawniéj, bo i jego żałoba i blizkie rozstanie, mąciły wesołość, ale zawsze te same gorące przynosił uczucia i zawsze tak miłego jak dawniéj doznawał przyjęcia, owszem zdawało się, że mając go niebawem stracić z oczu na czas może długi, Julija i matka starały mu się tém więcéj okazać, ile im był drogim. Gdy przyszedł się żegnać, zastał Juliję samą w pokoju i postrzegł łzy w jéj oczach. Głębokie wzruszenie przemogło dotychczasową nieśmiałość. Po raz piérwszy odważył się wyrzéc słowo: kocham—»wszystko wyznałam mamie«, odpowiedziała Julija, »i mama się na nas nie gniewa.« — »A więc wieczna miłość!«—»Wieczna miłość«, powtórzyła dziéwica, a piérwszy upajający serdeczny pocałunek, przycisnął z obojéj strony pieczęć na zawartéj umowie. We dwie godzin późniéj zabrzmiała trąbka pocztarska. — Skorowóz z trzaskiem pędził przez ulicę po pod Julii mieszkanie. — Biała chustka w znak pożegnania wionęła z pojazdu, druga biała chustka w oknie była przy oczach.

* * *

Minęło lat blizko ośmiu. — Młody adwokat pan Edmund z żoną przed tygodniem pojętą, świéżo sprawionym koczykiem i ładnémi konikami, jechał przez széroką ulicę — a naprzeciw trotoarem szła oparta na ręku męża Julija. — Chłopczyk cztéro-letni i dziéwczynka młodsza skakały na przodzie, trzecie dziécię w poduszce niosła służąca za nimi. Poznał Edmund Juliję i ukłonił się. »Czy znasz go?« zapytał mąż. — »Znam, bywał u pani M. na wieczorach — i u nas czasem — dobrze tańcował.«

»Mój Boże! ośm lat pomyślał nawzajem Edmund — co to czasu! co to zmian w życiu młodego człowieka!«

## DUMKA.

Mija wiosna mija,
Kwiatek listki zwija,
Omdléwa, więdnieje,
Bo stracił nadzieje,
Kielich smutno skłania
Przed chwilą skonania.

I ja śniłem wiosnę,
Dziéwicę miłosnę,
Lecz moje marzenia
W wiecznéj mgle uśpienia
Przepadły jak dziatki
Bez ojca, bez matki!

Bo gdy wiosna błysła,
Łza w oku zawisła,
Łza błogiéj radości
O raju przyszłości,
Com marzył w méj duszy
Śród światowéj głuszy.

Wiosno, ma kochanko,
Ułudna niebianko!
Z jakiém upragnieniem,
Z jakiém poświęceniem
Chciałem się szalono
Rzucić na twe łono!

I co tylko miałem
Rozmarzony szałem,
Piérwszych piosnek kwiecie,
Rwane w ułud świecie
Jak lubéj dziéwczynie —
Niosłem ci w daninie!

Chwile wiosny młode
Gdzieście się podziały!
A z sobą swobodę
I szczęście zabrały,
Szczęście i swobodę
I me lata młode!

Dziś z smutkiem zbratany,
Śród światowéj spieki,
Żeglarz zabłąkany
Przylądku daleki!
A do koła burze
I pioruny w chmurze!

Wiosno, ma kochanko,
Wyśniona niebianko!
Jakżeś ty zdradziecko
Jakby jakie dziecko
Gwiazdką mię łudziła....
Na cierniach zbudziła!

Śnie złoty młodości
O Bogu, ludzkości —
Szczepisz miłość, wiarę,
Te uludy stare,
A potém z młodzieńca
Robisz potępieńca!

Bo ja śniłem wiosnę
Kochankę miłosnę;

Lecz moje marzenia
W wiecznéj mgle uspienia
Przepadły jak dziatki
Bez ojca, bez matki!

*Pok..—*

## ZE LWOWA.

*Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 35. i obejmuje: 1) O sztucznych nawozach czyli kompostach. 2) O stawach słodkiéj wody, ich zarybianiu, utrzymaniu i korzyści. (Ciąg dalszy). 3) Czy można i u nas słodkie kasztany pielęgnować? 4) O gatunkowaniu owiec. 5) Uwagi z obwodu tarnowskiego nad gorzelnictwem. 6) Wiadomości czasowe: *a)* Rada przeciw nieurodzajowi drzew owocowych. *b)* Nowa piwna próba. *c)* Jak można zboże porosłe na chléb jeszcze zdatném uczynić. *d)* Najlepsza polewa (glazura) na naczynie gliniane.

Ner 17. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) O pięknych rysach twarzy i powierzchowności. 2) Wiersz: Do Sanu. 3) Korespondencyje. 4) Wiadomości literackie. 5) Koncert Woduickiego w Reinertz.

Redaktor *Lwowianina*, wydał swoim nakładem dwie broszurki: *Karol XII. król szwedzki we Lwowie r. 1704.* Powieść skréślona w historycznych obrazach, i *Moje uwagi.* Trzecia broszurka: *List do Redaktora Tygodnika literackiego w Poznaniu*, jest pod prasą.

Maszyna do zamiatania ulic. Niejaki Whitworth w Manszestrze wynalazł maszynę, w szczególniejszy sposób zbudowaną. Są to właściwie taczki, które koń ciągnie. Z tyłu maszyny jest mnóstwo mioteł, które przez obracające się koła w taki ruch są wprawione, że same przez się ulicę zamiatają. Taż sama maszyna podejmuje równo-cześnie ukośną płytą gnój i śmiecie, i do taczek je wrzuca, a zatém zamiata ulicę, przytem ładuje i wywozi gnój i śmiecie.

W Paryżu umarł niedawno pewien człowiek, który żył lat 107. Jako nadworny krawiec za Ludwika XV. i XVI. uzbiérał on sobie niejaki majątek; lecz rewolucyja tak go zniszczyła, że już potém mieszkał w izdebce na strychu, gdzie jeszcze 47 lat przeżył. Pozostawił dwie córek i dwóch synów, z których najmłodszy ma lat 80. Między papierami jego znaleziono mnóstwo kwitów i listów podpisanych imieniem najsławniejszych osób z drugiéj połowy XVIII. wieku, między innémi przez Woltera, Maupeou, d'Alemberta, Roussa, księcia Richelieu i t. d.

Z jednego drzewa krzyż i łopata. Będący jeszcze przy życiu syn wielkiego poety Szyllera, jest król. nadleśniczym w Lorch, niedaleko Stutgardu. Jestto zacny, uprzejmy człowiek, ale nie odziedziczył ani iskierki poetycznéj weny po swoim ojcu. Pewien cudzoziemiec będący na przedstawieniu jednéj z trajedyi Szyllera w nadwornym teatrze w Stutgardzie, wszedłszy do biufetu, zastał tam człowieka, który uprzejmém swém zachowaniem się, tak się mu podobał, iż wprost wdał się z nim w rozmowę. Jednakże rozmowa ta nie długo trwała, gdyż dzwonek oznajmił, że się akt zaczął. Cudzoziemiec pospieszył czémprędzéj, ażeby nie opuścić żadnej sceny, a po skończonym akcie powrócił znowu do biufetu. Poczciwy Szwab, z którym piérwéj rozmawiał, siedział ciągle na tém samém miejscu. »Wpan, jak widzę, jesteś szczęśliwy, że mu śród takiego nacisku nie zabrano miejsca.« — »Bardzo naturalnie, bom się z niego ani ruszył«, odrzekł tenże z uśmiechem. — »Czy podobna opuścić cały akt w tak wybornéj sztuce!« zawołał cudzoziemiec. »Może się wpanu przedstawienie nie podoba? Może nie jesteś zadowolony grą aktorów?« — »O, i owszém — gra ich bardzo mi się podoba, a prócz tego są oni prawie wszyscy przyjaciółmi moimi!« — »Więc może wpan nie lubisz trajedyi, może nie jesteś czcicielem szczytnego Szyllera?« — »Co? Ja nie miałbym być jego czcicielem?« odrzekł Szwab z zapałem. »Ja jestem więcéj niż jego czcicielem mój panie — ja jestem jego synem.«

Perskie podanie. Za kalifatu Omara, władcy prawowiernych, wybrało się kilku Żydów z Syryi i przybywszy do niego, rzekło: »Ponieważ ty jesteś naczelnikiem wyznawców Islamu; przeto zadamy ci pięć pytań, a gdy nam je rozwiążesz, przyjmiemy twą wiarę i wyznamy, że zakon twego proroka jest prawdziwy.« — »Pytajcie, o co pytać chcecie«, odrzekł władca prawowiernych. — »Co jest«, rzekli Żydzi, »zamek, który niebo zamyka, i w czyjém ręku jest klucz, którym je otworzyć można?« — »Jak się zowie grób, który uszedł z tym, co w nim był pochowany?« — »Jak się zowie prorok, który do swego ludu mówił, a przecie nie był ani z rodu ludzi ani z duchów?« — »Ilu jest tych, którzy się na ziemi pojawili i żyli, a zrodzonymi nie byli?« — »Gdzie jest miejsce, które słońce tylko raz oświéciło?« — Wtedy Omar władca prawowiernych zwrócił się do pobożnego Ali-ben-abi-Taliba, Imana prawowiernych i rzekł: »Odpowiadaj ty na te pytania.« — Atoli Żydzi rzekli: »Któż jest ten człowiek Omarze, któremu rozkazujesz, aby na nasze odpowiadał pytania? Jestże on mędrszy od ciebie?« — »Jestto syn wuja Proroka«, odrzekł Omar. — »Prawdeś powiedział«, rzekli Żydzi, »gdyż o nim napisano w *Tora:* że będzie następca proroka i morzem wiadomości.« — I oto Ali, ulubieniec pana, otworzył usta i rzekł: »Zamkiem, który niebo zamyka, jest bałwochwalstwo; bo gdy człowiek innych bogów do prawdziwego Boga dodaje, dobre uczynki jego nie idą do nieba, a kluczem, który je otworzyć może, są słowa tego wyznania: Nié masz Boga prócz Ałły, a Muhamed jego Prorokiem.« — »Grobem, który z tym uszedł, co w nim był pochowany, jest wieloryb Jonasza, który przez ośm mórz z nim uchodził. Atoli Bóg uczynił jego ciało tak przejrzystém, iż widział wszystkie cuda w morzu, które prawica Ałły zdziałała.« — »Kaznodzieja, który do swego ludu przemawiał, a nie był z rodu ludzi, ani z duchów, byłato mrówka Salomona, Munzir (kaznodzieja) zwana. Gdyż w dolinie mrówek zgromadziła swój naród*) i rzekła: »Idźcie do swych siedzib, mrówki, albowiem obawiajcie się, aby Salomon i zastępy jego swémi nogami was nie zdeptali.« — »Żywych istot, które na ziemi się pojawiły, a zrodzonymi nie były, jest sześć: Adam i Ewa, wielbłąd Saleha**), baran Abrahama, wąż Mojżesza i ptak Jezusa***).« — »Nakoniec miejscem, które słońce tylko raz oświeciło, jest koryto Nilu****), którego wody Mojżesz rozdzielił laską, gdy dzieci Izraela szły do Ziemi obiecanej. Wtedy raz tylko odsłoniło się dno koryta Nilu, a oświeciło je słońce, i więcéj nigdy.« Żydzi usłyszawszy te odpowiedzi, niezwłocznie Islam przyjęli.

*) Gdy Salomon swoje zastępy złożone z duchów, ludzi i ptaków w dolinie mrówek szykował. Obacz Koran Sur. 27. wiersz 18.

**) Którego prorok Saleh dla przekonania zwolenników talmudu, o swojem boskiem poselstwie, cudem ze skały otworzył. Obacz Koran Sur. 7.

***) Wzmianka o podaniu, że Jezus w młodocianym swym wieku ożywił kawał gliny, który nakształt ptaka, a częściej opowiadają, że nakształt nietoperza uformował.

****) Rzekę Nil wziął tu Iman za Czerwone morze, jestto błąd, którego się także sławny perski poeta Sady dopuścił, gdy o tym cudzie wspomina.

**Prośba.** Podczas wielkiego wiedeńskiego kongresu, Aleksander, cesarz rossyjski, śród licznych próśb wszelkiego rodzaju, otrzymał także prośbę od Jeana Paul Richter, domagającego się o zwrócenie pensyi, którą mu zatrzymano. Prośba ta nie jest ułożona w zwyczajnym stylu urzędowym i brzmi jak następuje: »Śród szczytnego czasu, w którym Wasza ces. Mość jesteś rozjemcą Europy, jak przedtém jéj wybawcą i opiekuńczym duchem pokoju, występuje przed Twój tron mała sprawa. Jednakże, jak duchowi nic za wielkiem, tak też dobroci, nic za małém nie jest. Przeszło lat 25 pracowałem dla Muz i filologii, gdy mi jeden z książąt niemieckich, były Wielki książę frankfortski, dla wsparcia ubogo-urodzonego, którego ciało jedynie jego duchem się żywi, roku 1808 roczną pensyję 1000 tal. wyznaczył. Po zwycięzkiém zajeciu tego wielkiego księztwa roku 1814, jeneralne gubernijum zatrzymało pomienioną pensyję do dalszego rozporządzenia. Wysocy Sprzymierzeni, którzy za niemieckie swobody i za niemiecką umiejętność zarówno walczyli, rozkażąż odebrać książęce wsparcie autorowi, który pismami swemi dobijał się o europejską swobodę w tym czasie, w którym swą własną przed jenerałem Davoust naraził na niebezpieczeństwo? Udaję się w téj mierze do serca Aleksandra, gdyż życzliwa opatrzność właśnie w wieku samolubstwa, miłość ludzkości postawiła na najwyższym tronie europejskim. Udaję się do jego jenijuszu, który jenijuszów jest opiekunem, i który niéma już innego państwa do powiększenia, jak tylko takie, które jest największe i żadnych granic nie mające, a tem jest państwo umiejętności, któremu on do mil jeograficznych, najdłuższe dnie duchowego życia dodać zamierzył. Oby potężny władca, którego berło podobnie jak magnes, kochając, ku sobie pociąga a nawiając, strony nieba wskazuje, przebaczył śmiałej nadziei, do której Jego dobroć tak pojedynczym osobom jak i narodom prawo nadaje. Pannj Wasza ces. Mość długo nad jedyną, trwałą, uniwersalną monarchiją, a to po obaleniu monarchii zawistnej i nienawidzącéj, nad monarchiją miłości, i długo niech płacze radość w obec Ciebie, a bardzo późno żal po Tobie.«

**Dłużnicy w Chinach.** Kto lubi robić długi, niech do Chin jedzie, gdyż tam wierzyciele nie długo się dłużnikom naprzykrzają. Z końcem starego roku, załatwiają Chińczykowie wszystkie zaległe rachunki; liczne orszaki czeladzi kupieckiéj, otaczają wtedy pomieszkanie dłużników z długim spisem rachunków w ręku, i mają już na pogotowiu różne sposoby próśb, łajań i obelg. Gdy się dłużnik ukaże, zagłuszają go upominaniem się o należytość, i skłonni są do użycia wszelkich środków namowy, nie wyjąwszy nawet fizycznych. Nieraz się zdarza, iż dłużnik dla uniknienia téj natarczywości, ukrywa się w domu przyjaciela; ale gdy się wychyli na ulicę, musi się dobrze mieć na baczności, aby się z wierzycielami nie spotkał. Dłużnik nie śmie chińskiego rządu o pomoc wezwać, z obawy nazbyt wielkich wydatków, i ponieważ mu wiadomo, że wierzyciele nierównie łatwiéj mogą dla sędziów okazać się szczodrobliwymi, a tém samem sprawiedliwość uzyskać. Z tém wszystkiém skoro Nowy rok się zacznie, natychmiast ustają wszelkie prześladowania, dług idzie w zapomnienie, a każdy wierzyciel, który jeszcze dniem wprzódy dłużnikowi swemu chciał oczy wydrzeć, wita go teraz z uprzejmym uśmiéchem zwyczajnem pozdrowieniem *Da Si*, (wielka radość). O zaległym długu nié ma już ani wzmianki— aż do następnego Nowego roku.—

**Śniadanie.** W małéj włości niedaleko Epinal, wszedł był książę Orleański z małżonką swoją do ubogiéj oberzy i kazał sobie dać śniadanie, to jest mléka i razowego chleba dla księżnéj, a dla siebie świeżych jaj kilka i podobnież razowego chleba. Po téj wiejskiéj uczcie, odbytéj swobodnie z dobrym apetytem i na schludnym stole, zapytał książę gospodynię, co ma zapłacić? »Dwadzieścia *sous*, łaskawy panie!«— »Oto masz wpani 80 franków«, rzekł książę. — »Czy nie słyszałeś łaskawy panie, żem ja tylko dwadzieścia *sous* żądała?«—»I owszem, słyszałem dobrze«, odrzekł książę; »ale ponieważ ja za moje i księżnéj śniadanie płacę zawsze 80 franków, więc słuszna jest, abym wpani takąż samę kwotę zapłacił.« — »Ach miły Boże! Toż wpan jesteś książę Orleański, a ta piękna dama, jego małżonka! Ta myśl nie przeszła mi przez głowę! Gdybym o tém wiedziała, byłabym przynajmniéj obrusem stół nakryła i małżonce pańskiéj białym talerzem usłużyła!«

**Miłość porządku.** Cherubini miał wiele właściwych sobie przywar i dziwactw, które nie szkodząc nikomu, dla niego jednakże niezbędne być się zdawały. Nie mógł on znieść żadnéj perfumy, i tak powstawał na wszelkie pachnidła, iż nieraz tą szczególniejszą odrazą śmiesznym się stawał. Ale nadewszystko lubił porządek. Wszystko miało u niego swą ustawę, jak w sztuce tak i w życiu. Każdy, choćby najmniejszy sprzęt toalety był numerowany, a nawet w dzień swojej śmierci nie dał się odwieść od raz zaprowadzonego domowego porządku. Zażądał chustki do nosa; przyniesiono mu. Cherubini spojrzawszy na nummer u końca chustki, rzekł: »To nie ta; to jest ner. 8, a jeszczem nru. 7 nie używał.«—»Wiém o tem«, odrzekła osoba usługująca, »ale na ner. 7 padła kropla kolońskiéj wody, a wiedząc, że pan nie cierpisz woni, więc...«—»Ach, co tam, porządek musi być zachowany!«—Cherubini kazał sobie dać chustkę ner. 7, otarł sobie nią czoło, jednakże z widoczną odrazą, poczém rzuciwszy na bok, rzekł: »Teraz, gdy już ner. 7 miałem, proszę o nummer 8!« Byłato ostatnia chustka, któréj użył.

**Waleczność.** Pewien dowódca Czerkasów z plemienia Lesgijczyków, odznaczał się walecznością, odwagą równie jak i okrucieństwem przeciw zwyciężonym i w niewole zabranym Rossyjanom. Jednego razu z małą garstką żołnierzy, napadł na włość przez Rossyjan zajętą, i bez miłosierdzia wyciął w pień wszystkich, którzy mu się pod rękę nawinęli. Jednakże gdy do drugiéj wsi zapuścił swe zagony, rozłożeni tamże Kozacy, otoczyli małą garstkę i zaczęli mocno nacierać. Dowódca Czerkasow potykał się z nimi jak ów bohatér starożytności; już polegli wszyscy jego towarzysze na placu, a on sam stawił opór tak długo, aż okryty ranami padł na ziemię i w niewolą się dostał. Stawiony przed gubernatorem w najbliższej wiosce i zapytany: Jakiéj kary spodziewa się, że podniósł broń na Cara, któremu posłuszeństwo jest winien? — »Żadnéj!« odpowiedział nieustraszony jeniec. — »Tak sądzisz? A toż dla czego?« —»Bo wasz Car jest za dumny, aby się mścił na — dziewczynie. Jestem niewiasta, która przysięgła pomścić się śmierci swego ojca i brata, którzy z waszych rąk padli.« — Gubernator przekonawszy się, że to zeznanie jest prawdziwe, doniósł o tém Cesarzowi. Wspaniały władca rozkazał, ażeby o zranionéj miano staranie, a gdy wyzdrowieje, ażeby ją pod przyzwoitym konwojem, w mundurze dowódcy do Petersburga przywieziono.

---

*Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.*
*Drukiem Piotra Pillera.*